GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 15 PAŹDZIERNIKA 1937 R.

Nr. 19 ROK VII

CENA NUMERU ZŁ. 0.90 PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. 50 GR.

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

Nr. 19
1937 R.
15 — X

TADEUSZ ŁYCHOWSKI

PRZECIWIEŃSTWA NA NAJDŁUŻSZĄ METĘ

Załamanie się linii narmalnego rozwoju gospodarczego i społecznego na kuli ziemskiej poprzez wojnę światową i depresję 1929 — 1932 r. przybrało formy zaostrzone i wyrażające się już nie tylko w przeciwieństwach politycznych i gospodarczych zainteresowanych krajów, ale nawet w przeciwieństwach światopoglądów.

Nie tylko w Polsce istnieje wielkie przeciwieństwo w światopoglądach poszczególnych odłamów społeczeństwa. Takież same — o ile nie większe — przeciwieństwa istnieją i w innych krajach. Ale, co więcej, weszły one już w stosunki międzynarodowe. Dzisiejsze konflikty między krajami — to nie tylko konflikty interesów politycznych i gospodarczych ale i wyrosłe na owych dwuch pierwszych konflikty światopoglądów.

Gdybyśmy chcieli wyjaśnić sobie logicznie, gdzie, mianowicie, mieści się „linia podziału" pomiędzy t. zw. demokracjami a t. zw. dyktaturami, pomiędzy parlamentaryzmem a ustrojami totalnymi, pomiędzy liberalizmem i autarchią, pomiędzy wolnością przekonań a „ideologią masową" — musielibyśmy z konieczności poszukać pierwszych śladów tego rozdarcia we wstrząsie, jaki spowodowała w normalnym rozwoju świata wojna 1914 — 1918 r. Olbrzymi postęp, jaki dokonany został w ciągu XIX-go wieku w tem, co się tyczy poziomu życia szerokich mas ludności niektórych krajów świata, zawdzięcza się bezsprzecznie rozwojowi w krajach tych systemu kapitalistycznego. Cechą tego rozwoju jest na długą falę (nie mówimy tu — rzecz prosta — o przejściowych depresjach cyklicznych) powolny ale stały wzrost bogactwa w krajach, gdzie rozwój ten następował. Zwiększenie się bogactwa jednego kraju powodowało wzrost jego potrzeb możliwych do zaspokojenia wyłącznie przy pomocy innych, rodziło międzynarodowy ruch kapitałów, zapładniało tworzenie się bogactw w innych krajach — i dźwigało stopniowo w górę coraz to nowe i nowe społeczeństwa. Ale, jak powiadamy, ruch ten, trwając stale, rozwijał się jednak tylko powolnie i stopniowo, a przede wszystkim obejmował w pierwszym rzędzie obszary bliskie głównemu ognisku kapitalizmu, a więc, innymi słowy, kraje zachodniej, środkowej i częściowo północnej Europy. Wyrastała w ten sposób w skali międzynarodowej sui generis „arystokracja" narodów związana nie tylko więzami pieniądza, ale i więzami wspólnej kultury i cywilizacji zachodnio-europejskiej. że były w tym gronie narody bogatsze i ubożsże, kraje bardziej wczesnego i bardziej zaawansowanego kapitalizmu, nie zmieniało to przecież faktu, iż różnice w poziomach były stosunkowo nie tak wielkie. O pierwsze miejsca, o „hegemonię" i możności szybszego rozwoju mogły powstawać w gronie tym konflikty. Ale były to zawsze *konflikty interesów* — a nigdy konflikty ideologii.

*

Ostatni taki wielki konflikt — wojna światowa — wywołał jednak o wiele większy wstrząs niż się spodziewano. Sama wojna przesunęła olbrzymią część bogactwa Europy do krajów zamorskich — przede wszystkim do Stanów Zjednoczonych. Traktaty pokojowe, wysunąwszy zasadę samookreślenia narodów, doprowadziły do stworzenia szeregu nowych organizmów państwowych wykrojonych z terytoriów państw, poprzednio istniejących, a więc z natury rzeczy gospodarczo od nich słabszych. Austria pozostała organizmem, który bez pomocy międzynarodowej utrzymać się zasadniczo nie może. Niemcy — cofnęły się na skutek wojny i inflacji w poziomie swej zamożności bardzo znacznie. Dało to początek załamaniu się równowagi stopniowego postępu gospodarczego krajów tej samej „klasy". Aspiracje pozostały — materialna „réalité des choses" uległa zmianie. W poziomach stopy życiowej powstały wśród „arystokracji" krajów świata rozpiętości — rozpiętości, które kryzys dopiero ujawnił w całej ich nagości. Powstała kapitalna dla zrozumienia obecnego stanu rzeczy na kuli ziemskiej dysproporcja pomiędzy politycznym (w najszerszym tego słowa znaczeniu) a gospodarczym stanem kilku krajów, znajdujących się w centrum politycznej i gospodarczej działalności świata. Jednocześnie wygrana wojna stworzyła nową „klasę" narodów — tych, które uważały się za skrzywdzone przy podziale owoców zwycięstwa. Oś ideologiczna pomiędzy Rzymem i Berlinem związała się w chwili, kiedy Niemcy zostały strącone z piedestału mocarstwa czołowego, a jednocześnie Włochom nie udało się do takiego stanowiska dotrzeć.

*

Przed wojną w krajach „arystokracji" świata istniały wewnętrzne fronty społeczne: front kapitału przeciwko frontowi pracy. Cała ideologia przedwojennego socjalizmu zbudowana została na takiej właśnie strukturze. Z chwilą pojawienia się powojennych rozpiętości w skali międzynarodowej wspomniany schemat wewnętrzny począł ulegać również pewnym przeobrażeniom. Oczywiście nie w tym sensie, aby przeciwieństwa pomiędzy interesami klasy pracującej a interesami kapitału miały zniknąć nawet w najbogatszych po wojnie społeczeństwach. Ale niewątpliwie w tych właśnie społeczeństwach ostrze przeciwieństw tych się stępiło. Interesy klasy pracującej poczęły stawać się zadawalane w coraz to wyższym stopniu. Wystąpiło natomiast przeciwieństwo inne: obawa ze strony klasy pracującej kraju bogatego, iż interesy jej mogą ponieść uszczerbek z uwagi na „dumping społeczny" ze strony kraju ubogiego — na konkurencję taniej siły roboczej w krajach zagranicznych (a przecież nie kolonialnych, z którymi miało się do czynienia w ub. stuleciu). Jakkolwiek by to na pozór mogło się zdawać paradoksem, to przecież ostrość konfliktów pomiędzy kapitałem i pracą w kraju bogatym staje się mniejszą od ostrości konfliktu pomiędzy ich *wspólnymi* interesami a interesami kraju na dorobku. Przy czem — rzecz charakterystyczna — kapitał jest z natury rzeczy mniej restryktywny, mniej — powiedzielibyśmy — „protekcjonistyczny" od związku zawodowego. Potrafi zawsze przecież uniknąć większych strat czy to przez założenie warsztatu w kraju taniej konkurencji, czy przez jakiś holding, kartel, porozumienie co do sprzedaży itd. itd. Robotnik tych wszystkich środków nie ma. A z wywalczonego raz poziomu życia ustępować nie chce. Wyrasta tragiczne przeciwieństwo pomiędzy interesami proletariatu w skali międzynarodowej, o którym twórcy hasła: „proletariusze wszystkich krajów — łączcie się" nie myśleli na pewno.

*

Depresja 1929 — 1932 r. i jej skutki, jakie przeżywamy — my mieszkańcy krajów ubogich — po dziś dzień, zaostrzyły tylko owe dwa przeciwieństwa. Na gruncie zadrażnień politycznych i konieczności gospodarczych powyrastały w krajach moralnie i materialne „nienasyconych" ideologie totalne. Faszyzm jest pierwszą ideologią masową, która — będąc społeczną — staje przeciwko doktrynie socjalistycznej. Odtąd już w grę wchodzi walka nie tylko interesów ale doktryn. Odrzucanie przez faszyzm walki klas wynika w pierwszym rzędzie z uświadomienia sobie konieczności *przede wszystkim* zapewnienia „awansu politycznego" dla całego narodu, zanim — w dalekiej przyszłości — uda się dotrzeć do poziomu, kiedy byłaby możliwa walka klas na wewnątrz. Dla zaspokojenia aspiracji dzisiejszej klasy robotniczej tworzy się mit społeczny — i prowadzi się odpowiednią politykę socjalną, politykę, która, opierając się o zasadnicze założenie państwa ubogiego i przeludnionego: „możliwie wielkie zatrudnienie przy z konieczności odpowiednio niskim poziomie płac", stara się wypełnić niedobór materialny w życiu jednostki zasobami natury emocjonalnej. że jest to absolutne przeciwieństwo doktryny socjalistycznej zbudowanej przecież na podstawie zupełnie odmiennego kształtowania się rozwoju gospodarczego państw przemysłowych — to jasne. Ongiś zagadnienie poziomu płac było powszechnym hasłem dla wszystkich proletariuszy krajów, ulegających ewolucji gospodarczej. Pozostało też nim nadal w krajach, które ów wysoki stopień ewolucji osiągnęły. W krajach „nienasyconych" poziom płac zostaje złożony na ołtarzu możliwie szerokiego zatrudnienia i wywalczenia sobie przez *cały* naród lepszej pozycji w międzynarodowym układzie stosunków gospodarczych. Obok niechęci politycznej powstaje przeciwko doktrynie takiej naturalny odruch ideologiczny wszędzie tam, gdzie „sprawiedliwość społeczna" może być osiągnięta drogą lepszego podziału dochodu społecznego *już istniejącego* — i gdzie zatem walka o jego zwiększenie metodami innemi niż liberalizm XIX-ego wieku wydaje się nienaturalną i niezrozumiałą.

Nie jest bez znaczenia, iż francuski rząd „frontu ludowego", prowadząc wewnątrz kraju politykę szeroko zakreślonych reform społecznych, utrzymywał i utrzymuje na zewnątrz politykę możliwie liberalną, wystrzegając się jak ognia ograniczeń dewizowych, które — wbrew całemu sensowi

swej polityki socjalizującej w kraju — uważa jako znamię „totalizmu". Komunizm Stalina, walczący z „faszyzmem" przede wszystkim w imię politycznych interesów Związku Sowieckiego, a w gruncie rzeczy po przejściu niesłychanie kosztownej i okrutnej drogi rewolucji powoli się doń w metodach „totalnych" zbliżający, jest w gruncie rzeczy o wiele bardziej odległy merytorycznie od pokojowego „dzielenia bochenka" we Francji czy Stanach Zjednoczonych niż od wojenno-gospodarczych metod hitleryzmu. Ideologia pomięszała się z praktyczną polityką, tworząc chaos pojęciowy zupełnie dotychczas niewidziany.

Wplątał się jeszcze w to wszystko straszak wojny. Mobilizacja społeczeństw dokonywana przez ustroje totalne dla osiągnięcia ich sprężystości w obliczu nowych walk — chwilowo bądź czysto dyplomatycznych, bądź „kolonialnych" (znów w najszerszym tego słowa znaczeniu...) wywołuje w krajach „nasyconych" słuszne wrażenie niepokoju. Obok przeciwieństw ideologicznych już wspomnianych powstaje nowe: pacyfizm krajów demokratycznych („quietus qui tenet") wobec militaryzmu dyktatur. Wołanie krajów ubogich w surowce o zmianę ich rozdziału w skali międzynarodowej wywołuje repliki z tytułu „bezpieczeństwa wojennego" zarówno ze strony kapitału zachodnio-europejskiego, jak Związku Sowieckiego — jak wreszcie socjalizmu II-ej Międzynarodówki. Argumentuje się, że przecież istnieją i demokracje, nieposiadające dostatecznych ilości surowców, a przecież nie wysuwające żadnych światoburczych żądań. Zapomina się, że mają one czem za surowce te płacić...

*

Świat rozdarty jest dziś wielkimi przeciwieństwami — na najdłuższą metę. Długofalowość konfliktów tych wynika z ich charakteru, gdzie łączą się elementy zarówno polityki praktycznej, jak doktryn społecznych, socjologicznych, interesów ekonomicznych, rasowych i innych. Zwłaszcza obóz demokracji, obóz ustalonego przedwojennego porządku ewolucyjnego jest w składzie swym niesłychanie heterogeniczny. Obok „czystego" wielkiego kapitału (zagrożone interesy w Chinach przez agresję japońską, zamrożone kapitały w Niemczech i konkurencja wspieranego przez „marki wewnętrzne" wywozu niemieckiego, groźby wojenne, nacjonalizacja ciężkich przemysłów w Niemczech i Włoszech itd. itd.), obok całej międzynarodowej społeczności żydowskiej (hitleryzm), obok płytko-ideologicznych anglosaskich organizacji pacyfistycznych, znajdujemy tam całą aparaturę III-ej Międzynarodówki, organizującej na zachodzie Europy „fronty ludowe" w imię doraźnych interesów politycznych Związku Sowieckiego, całą ideologię socjalistyczną, zwalczającą „totalistów" w imię doktryny, trade-union'y, obawiające się o obniżenie poziomu życia klasy robotniczej Wielkiej Brytanii (dumping japoński, konkurencja środkowo- i wschodnio-europejska), liberalizm mieszczańskich klas Europy zachodniej — w imię doktryny anty-autarchicznej... i wiele, wiele innych jeszcze kierunków. Po drugiej stronie stoją ideologie „nienasyconych" — brutalne, zmilitaryzowane, pełne niezaspokojonego imperializmu (który demokracje już osiągnęły...), przepojone ksenofobją i niejednokrotnie silnie wybujałym nacjonalizmem. Po tejże stronie stoją systemy gospodarcze, starające się „urządzić" w posiadanych z konieczności skromnych warunkach materialnych w ten sposób, aby nic nie uszczuplić ze swych praw politycznych suwerenności — w najszerszym tego słowa znaczeniu. Stoją wreszcie polityki, które korzystając właśnie ze specyficznych warunków stwarzanych dla nich przez autarchię gospodarczą, starają się wszelkimi środkami — nie wyłączając najdrastyczniejszych ale niemniej przeto ciągle jeszcze pokojowych — wytargować od „klasy posiadającej" możliwie jak największe ustępstwa...

*

Nie zamierzamy stawiać prognoz. Staraliśmy się wytłumaczyć syntetycznie istotę dzisiejszych konfliktów, które dzielą świat na płaszczyznach zarówno politycznych jak i gospodarczych czy ideologicznych. że nie uniknęliśmy z natury rzeczy uogólnień, że nie byliśmy w naszych syntezach idealnie precyzyjni, trzeba nam to wybaczyć. Zamiast krótkiego artykułu wypadało by napisać na ten temat wielotomowe dzieło. Ale *sens* dzieła tego musiałby być ten sam co naszego artykułu, albowiem ideologiczna linia podziału przebiega dziś na świecie tym właśnie szlakiem a nie innym. W okresie, kiedy i u nas społeczeństwo „odnajduje się" powoli samo — i odnajduje Polskę na jej właściwym miejscu pod słońcem, tego rodzaju synteza może być, naszym skromnym zdaniem, nie bez pewnego pożytku.

HENRYK PNIEWSKI

KAPITAŁ ZAKŁADOWY UBEZPIECZYCIELA

Kapitał zakładowy przedsiębiorstwa ubezpieczeniowego odgrywa dość skromną rolę. Jedną z jego zasadniczych funkcyj można zastąpić przez odpowiednio skonstruowany przymus reasekuracji i współdziałania w sprawach lokacyjnych.

Działalność ubezpieczeniowa jest w Polsce, podobnie jak w wielu innych krajach, nadzorowana przez państwo. W szczególności dotyczy to ubezpieczeń umownych. Potrzebę nadzoru państwowego i to głęboko sięgającego nie trudno uzasadnić. Umowa ubezpieczenia stanowi *sui generis* umowę kupna - sprzedaży, na podstawie której kupujący, zwany „ubezpieczającym" za jednorazową lub za okresowe wpłaty (zwykle pieniężne), zwane „składkami", kupuje u sprzedawcy, zwanego „ubezpieczycielem" (zakład ubezpieczeń, towarzystwo ubezpieczeń) pewien szczególny, abstrakcyjny towar, mianowicie zobowiązanie do świadczenia (zwykle pieniężnego, czasem rzeczowego) w wypadku zajścia ustalonego w umowie zjawiska losowego (tj. w wypadku realizacji ryzyka). Ubezpieczający z reguły nie umie ocenić jakości nabywanego towaru. Ocena taka wymaga bowiem rozległych wiadomości w znacznej zresztą części teoretycznej natury. Co więcej w pewnych wypadkach ubezpieczyciel może nawet w najlepszej wierze wziąć na siebie zobowiązania, których dopełnić nie potrafi. Państwowy nadzór nad działalnością ubezpieczeniową ma być w pierwszym rzędzie czynnikiem fachowym, którego funkcjonowanie usuwa w możliwie najszerszym zakresie ujemne skutki niedostatecznej z reguły i z konieczności wiedzy ubezpieczeniowej ubezpieczających, a nieraz i ubezpieczyciela.

Aby rozpocząć działalność ubezpieczeniową trzeba otrzymać zezwolenie na nią ze strony państwowej władzy nadzorczej (pomijamy tu dla uproszczenia pewne wyjątki od powyższej reguły obowiązującej w ustawodawstwie polskim). Koniecznym lecz niewystarczającym warunkiem uzyskania tego zezwolenia jest wpłacenie kapitału zakładowego w odpowiedniej formie i przynajmniej w minimalnej, ustalonej przez przepis ustawowy wysokości. Minimum tego kapitału jest dość znaczne, chodzi tu z reguły o setki tysięcy złotych. W ostatnich czasach mówiło się o potrzebie, nawet o konieczności podwyższenia tego minimum.

Zastanówmy się teraz, jakie powinno być wspomniane wyżej minimum kapitału zakładowego? W rozważaniach naszych będziemy abstrahowali od obowiązującego stanu prawnego oraz od wszelkich najbardziej choćby doniosłych względów natury poza ubezpieczeniowej. Ustalmy przede wszystkim jaka jest rola kapitału zakładowego ubezpieczyciela. Szczegółowa i wyczerpująca analiza przekroczyłaby niewątpliwie ramy artykułu, poprzestaniemy więc na punktach, które wydają się nam najbardziej istotne. W praktyce kapitał zakładowy ubezpieczyciela spełnia dwie zasadnicze funkcje:

a) Czysty dochód od wpłaconego kapitału zakładowego pokrywa tę część kosztów ubocznych (administracyjnych przede wszystkim), która nie jest ewentualnie pokryta przez odnośne dodatki bruttujące składek, wpłacanych przez ubezpieczających.

b) Kapitał zakładowy stanowi obok rezerw technicznych (które powstają z odpowiednich części składek ubezpieczeniowych) dodatkowe zabezpieczenie uprawnień osób ubezpieczających.

Jeżeli idzie o funkcję (a), to zaznaczyć należy, że wchodzi ona w grę tylko w pewnych wypadkach. Wyliczymy tu niektóre z nich. Składki pobierane przez ubezpieczyciela mogą być zbyt niskie na to, aby nawet przy bardzo dużym portfelu ubezpieczeń po pokryciu bieżących wydatków na świadczenia ubezpieczeniowe i po należytym dotowaniu rezerw technicznych pozostawała ubezpieczycielowi dostateczna kwota na pokrycie kosztów ubocznych działalności ubezpieczeniowej (wydatki akwizycyjne, inkasowe i administracyjne). Jest to wypadek anormalny, który może być skutkiem nadmiernego obniżenia składek przez konkurencję na rynku ubezpieczeń umownych. Odpowiednie posunięcia władzy nadzorczej mogą zwykle usunąć nadmierną konkurencję.

Kiedy indziej znowu składki pobierane mogą być skalkulowane racjonalnie, ale portfel ubezpieczeń jest zbyt mały na to, aby *stałe* koszty uboczne mogły być pokryte. Znowu mamy tu do czynienia z sytuacją anormalną, która zdarza się ubezpieczycielom rozpoczynającym dopiero swą działalność, albo zamierającym zakładom ubezpieczeniowym. Pierwszy wypadek jest raczej aktualny w zastosowaniu do spółek akcyjnych, w których uposażenia dyrektorskie są w czasach dzisiejszych nieraz bardziej istotne od dywidendy, niż w zastosowaniu do społecznych przedsiębiorstw ubezpieczeniowych, które mogą nieraz bez szkody dla swych istotnych (tj. ubezpieczeniowych zadań) utrzymać koszty stałe na „głodowym" nieraz poziomie. Jeśli idzie o wypadek drugi (zamierający zakład ubezpieczeń), to władza nadzorcza, o ile byłaby uprawniona do przymusowego fuzjowania takich ubezpieczycieli, mogłaby szybko taki wypadek zawsze zlikwidować.

Okazuje się więc, że jeżeli chodzi o funkcję (a), to znaczny kapitał zakładowy może być niezbędny, ale nie z reguły, a tylko w pewnych anormalnych i usuwalnych albo też przejściowych wypadkach.

Przejdźmy do funkcji (b) kapitału zakładowego. Czy racjonalnie odkładane rezerwy techniczne

danego ubezpieczyciela mogą w ogóle być niedostatecznym zabezpieczeniem ubezpieczających? Niewątpliwie tak! Sytuacja taka jest możliwa zarówno ze względów natury ubezpieczeniowej, jak i lokacyjnej. Portfel ubezpieczeń danego ubezpieczyciela może być zbyt mały lub zbyt niejednorodny na to, aby grało prawo wielkich liczb. Jednak zaradzić w tym wypadku może reasekuracja, która stanowić może bardziej racjonalny środek zabezpieczenia, niż kapitał zakładowy. Gdyby wprowadzić przymus reasekuracji uzależnionej co do wysokości od każdoczesnej wielkości i składu portfelu ubezpieczeniowego można by rolę kapitału zakładowego jako dodatkowego zabezpieczenia bardzo silnie zdegradować. Władza nadzorcza mogłaby, jak się zdaje, o ile abstrahować od względów natury lokacyjnej, postawić skrajnie słabe wymagania co do wysokości kapitału zakładowego tym ubezpieczycielom, którzy by zechcieli się poddać takiemu przymusowi reasekuracji. Wybór reasekuratora nie mógłby być obojętny. Reasekuratorem musiałby być zakład krajowy dostatecznie silnie ufundowany o poważnie rozwiniętych stosunkach międzynarodowych. Zbyteczne jest podkreślanie w obrębie niniejszego artykułu, że posiadamy w Polsce obecnie taki właśnie zakład reasekuracyjny.

Przejdźmy do ryzyka lokacyjnego. Racjonalnie odłożone rezerwy techniczne mogą stanowić niedostateczne zabezpieczenie pomimo, że portfel ubezpieczeń będzie dostatecznie liczebny i jednorodny. Może się mianowicie zdarzyć, że portfel lokat, stanowiących pokrycie rezerw technicznych ubezpieczyciela będzie zbyt mały na to, aby ubezpieczyciel mógł swą działalność lokacyjną w dostatecznie silnym stopniu dostosować do zasady podziału ryzyka. Niezależnie od powyższego może zawsze zajść potrzeba masowego upłynnienia lokat, co w warunkach wolnego rynku może być połączone z tak znacznemi stratami ubezpieczyciela, że ubezpieczyciel nie zdoła dopełnić swych zobowiązań w stosunku do ubezpieczających.

Wysoki kapitał zakładowy może w obu powyższych wypadkach stanowić dodatkowe zabezpieczenie interesów osób ubezpieczających, ale istnieją pewne formy organizacyjne, które, jak się zdaje, mogą z powodzeniem zastąpić wysoki kapitał zakładowy.

Wyobraźmy sobie, że została utworzona spółka lokacyjna ubezpieczycieli, i że wprowadzony został przymus dla wszystkich ubezpieczycieli lokowania rezerw do pewnej stałej dla wszystkich kwoty w udziałach tej spółki. Przymus taki, ponieważ byłby ograniczony do pewnej stałej kwoty maksymalnej, nie mógł by być uciążliwy dla ubezpieczyciela o wielkich portfelach lokat, stanowiłby on bowiem drobne ograniczenie swobody lokowania, natomiast ubezpieczycieli, posiadających małe portfele lokat, przymus ten chroniłby przed ryzykiem załamania rentowności lokat, związanym nieuchronnie z niedostateczną niejednorodnością małych portfelów lokacyjnych.

Niech nam będzie wolno pominąć niemal w artykule niniejszym sprawę podwójnego opodatkowania lokat, dokonywanych *via* spółka lokacyjna. Oczywiście, podwójne opodatkowanie dochodów może zniszczyć całkowicie celowość utworzenia spółki lokacyjnej ubezpieczycieli. Utworzenie spółki lokacyjnej ubezpieczycieli oraz tworzenie innych spółek lokacyjnych w Polsce może nastąpić tylko po odpowiedniej nowelizacji ustawy o podatku dochodowym.

Jeżeli jeszcze wyobrazimy sobie, że ubezpieczyciele byliby obowiązani do wzajemnej pomocy w zakresie upłynniania lokat, to wówczas przyjąć możemy, że ryzyka lokacyjne ubezpieczycieli mogą być tak dalece zredukowane, że potrzeba kapitału zakładowego jako pokrycia tych ryzyk staje się bardzo mała.

Jeżeli mielibyśmy nowelizować przepisy ustawowe o nadzorze państwowym nad działalnością ubezpieczeniową, to nie zachodziłaby potrzeba równego traktowania zakładów (towarzystw) ubezpieczeniowych wszelkiego rodzaju, zakładów istniejących i tych, które dopiero w przyszłości powstać mogą. Jeżeli z tych czy innych względów ustawodawca nie uważałby za wskazane, aby w przyszłości powstawały liczne zakłady ubezpieczeniowe tego, czy innego typu, to może z góry silnie ograniczyć ich liczbę, stawiając np. wymaganie, aby warunkiem koniecznym utworzenia takiego zakładu w przyszłości było wpłacenie bardzo wysokiego kapitału zakładowego. Tego rodzaju postanowienie mogłoby jednak i to bez obrażania poczucia słuszności nie dotyczyć istniejących już ubezpieczycieli, a nawet i tych zakładów, które powstać dopiero mają pod warunkiem, że będą w tych wypadkach zastosowane wyżej naszkicowane środki organizacyjne.

Można by się jeszcze zastanowić, czy i w jakim stopniu powyższe rozważania są aktualne i posiadają doniosłość praktyczną. Jednak autor nie ma ochoty *„stawiać kropki nad i”* i dlatego na rozważaniach dotychczasowych poprzestaje.

ADAM WOLMAR

REORGANIZACJA HUTNICTWA

Udział kapitału państwowego w przemyśle hutniczym powinien stanowić instrument strukturalnej jego przebudowy. Dotychczasowe doświadczenia nie wydają się pod tym względem zadawalające.

Uchwała Rady Ministrów z 2 lipca br. zapowiada zmianę w dotychczasowych formach produkcji i organizacji hutnictwa polskiego. Zapowiedziane zostały zasadnicze reformy kapitałowe, techniczno - produkcyjne i organizacyjno - handlowe.

Stoimy więc w obliczu aktu gospodarczego, którego urzeczywistnienie nie może być w żadnym wypadku bez wpływu *na całość struktury gospodarczej kraju.* Od sprawności przemysłów surowcowych, od ich polityki handlowej wewnętrznej i zagranicznej, od ich ustosunkowania się do podstawowych zagadnień uprzemysłowienia kraju i pogłębienia rynku konsumcyjnego — zależy przecież w najwyższym stopniu kształtowanie się struktury gospodarstwa narodowego.

Szłoby jednak, żeby tak powiedzieć, o *cenę polityczno - ekonomiczną tego aktu gospodarczego.* Szłoby o to, czy przez stworzenie nowej organizacji, której zadaniem i celem będzie planowanie zadań i kontrolowanie celowości działania przemysłu hutniczego w Polsce, nie wzniesie się tylko jeszcze jednego kosztownego piętra kompetencji biurokratycznej ponad gmachem, który i tak — zdawać by się powinno — składał się dotychczas ze współczynników będących czy to bezpośrednią własnością kapitału państwowego, czy też w inny sposób władzy państwowej podległych i na jej koszt działających. Przecież w tej sytuacji, jaka istnieje na polskim rynku hutniczym od czasu przejęcia z rąk Flicka „Wspólnoty Interesów“ i przeprowadzenia ugody sądowej przez towarzystwo „Huty Pokój“ — w istocie swej zdecydowana większość praw własności w polskim przemyśle hutniczym znajduje się i znajdowała od pewnego czasu w rękach państwa czy banków państwowych. Przecież są w ręku Banku Gospodarstwa Krajowego, jeśli chodzi o większość udziałów akcyjnych, towarzystwo „Starachowickie“, „Huta Pokój“, a podlegają za pośrednictwem Towarzystwa Gestyjnego finansowanego przez kapitał państwowy, kapitałowi temu „Wspólnota Interesów“ i za pośrednictwem jej udziałów częściowo Zakłady Modrzejowskie.

Słusznie więc nasuwać by się mogło pytanie: czy wyznaczenie przez powołaną do tego władzę urzędową hutom, będącym własnością państwa, kierunku działalności gospodarczej, najbardziej interesom państwa odpowiadającej — nie było by najdoskonalszym i dostatecznym załatwieniem problemu kierunku polityki ekonomicznej hutnictwa żelaznego w Polsce? Bo przecież, w warunkach przedsiębiorczości prywatnej, podporządkowanej w swej tendencji ekonomicznej jednemu ośrodkowi własności, zakłada się — o ile nie zostaje przeprowadzona fuzja przedsiębiorstw — *holding* tych przedsiębiorstw, tworząc tym sposobem *instytucję wodzostwa ekonomicznego* nad przedsiębiorstwami, które mają do zrealizowania wspólne plany wyznaczane ze strony wodza - holdingu. I dlatego właśnie, że w sytuacjach podobnych do tej, w jakiej znalazło się nasze hutnictwo, zwykło się, w stosunkach prywatno - gospodarczych, istotne plany kryć i co najwyżej ujawniać je w postaci poleceń wydawanych kierownikom przedsiębiorstw podlegających holdingowi — *musiały zachodzić jakieś przyczyny dużej wagi,* skoro postanowiono u nas nie tworzyć holdingu hut państwowych, lecz tworzyć organizację naczelną o jawnym programie, wobec której huty państwowe czy prywatne są właściwie na równi postawione.

Zastanówmy się najpierw nad temi przyczynami właśnie, prawdopodobnie dużej wagi, które skłoniły do wybrania takiej formy dla reorganizacji hutnictwa w Polsce, jaka przyjmujemy, że wynika z uchwały Rady Ministrów z dnia 2 lipca b. r. Przyczynami temi musiały być dotychczasowe doświadczenia przy gospodarowaniu w państwowych hutach żelaznych. Bo trzeba sobie przypomnieć, że kiedy w latach ostatnich etap za etapem kapitał państwowy z największemi ofiarami, zwiększającemi ciężar funduszów publicznych, wkraczał do przedsiębiorstw hutnictwa żelaznego, łączono z faktem tym daleko idące nadzieje, specjalnie w kierunku reorganizacji stanu panującego w hutnictwie na skutek wieloletniego dysponowania jego losami nie tylko przez kapitały obce, ale i przez dysponentów tych kapitałów, mających wyraźne zainteresowanie się tem, by hutnictwo polskie nie mogło należycie spełniać swych zadań obronno-państwowych, i ekonomicznych. Jednak wkroczenie polskiego kapitału państwowego w obręb hutnictwa polskiego i formalne zapanowanie nad kierunkiem polityki gospodarczej głównych hut w Polsce — można to i nawet trzeba dziś głośno powiedzieć — nie spełniło pokładanych w nim nadziei.

Wiemy o tem że co innego jest instytucja państwowa a zgoła co innego spółka kapitałowa, której udziały są w ręku państwa czy banku państwowego; wiemy i nawet rozumiemy, że gestia w przedsiębiorstwach spółkowych o przewyżce udziału państwowego kieruje się z szeregu przyczyn przesłankami natury prywatno - kapitalistycznej i że z tego powodu działalność przedsiębiorstwa, w którym zaangażowany jest w mniejszej czy większej mierze kapitał państwowy, nie może być jakimś apostolstwem polityczno-ekonomicznym. Nie mniej jed-

nak trzeba z całą otwartością publicznie stwierdzić, że polityka ekonomiczna hut o współudziale kapitału państwowego, okazała się w Polsce niczem więcej jak tylko kontynuacją polityki ekonomicznej tych samych przedsiębiorstw z czasu, kiedy były one własnością kapitału obcego, i miały za zadanie spełnianie koncepcji polityczno-ekonomicznych dla Polskiej struktury gospodarczej najmniej sprzyjających.

Otwarte wypowiedzenie tego sądu wydaje się być przykrą rewelacją, albo też krzywdzącą oceną czyichś wysiłków. Bo trudno uwierzyć, by wraz z bezmała rewolucyjną zmianą w stanie posiadania określonego działu przemysłowego, by wraz z niemniej rewolucyjną zmianą obsady personalnej — nie nastąpiła zmiana o którą najwięcej przecież chodziło, zmiana w kierunku działania przewłaszczonych przedsiębiorstw. A jednak. Gdy, tak niedawno temu kierunek polityki ekonomicznej rządu i polska gospodarcza racja stanu domagały się przejściowego przeczekania ze zwyżką cen za surowce przemysłowe na naszym rynku wewnętrznym aż do pewnego dogonienia nas pod względem poziomu cen ze strony zagranicy, gdy było dla wszystkich gospodarczo myślących ludzi w Polsce rzeczą poza dyskusją, że rozpoczęcie nagłego wyścigu cen, szczególnie w zakresie surowców przemysłowych, byłoby świadomym torpedowaniem polskiej koniunktury krajowej, byłoby wywracaniem równowagi, jaka z trudnością zaczęła się tworzyć pomiędzy gospodarstwem przemysłowym i rolniczym — natenczas właśnie, gdy te wszystkie wspomniane tu elementy powinny były skłonić każde przedsiębiorstwo przemysłowe w Polsce do pewnej, żeby tak powiedzieć subordynacji w polityce cen, natenczas właśnie najbardziej nieoczekiwaną dywersję rozpoczęły przemysły surowcowe, w tem i upaństwowione, względnie będące własnością kapitału państwowego, huty i kopalnie węgla.

Nie był to naturalnie jedyny tylko objaw „wyłączenia się“ przedsiębiorstw operujących kapitałem państwowym z pod ideologii interesów państwa. Całe nastawienie przemysłu surowcowego w stosunku do krajowego przetwórstwa, przejawiające się w metodach różnego rodzaju „ekskluzywności“, dalej forytowanie najbardziej klasycznych metod „lekceważenia“ kartelowego itd. przejęte bezkrytycznie i z otwartymi ramionami przez operujące kapitałem państwowym przedsiębiorstwa przemysłu surowcowego — zadokumentowały, że system polegający na samostanowieniu przez przedsiębiorstwa surowcowe o ich polityce ekonomicznej — zawiódł. *I tu musiały tkwić owe przyczyny dużej wagi*, które skłoniły czynniki rządowe — w myśl uchwały Rady Ministrów z 2 lipca b. r. — do uznania potrzeby „wprowadzenia zasadniczych zmian w dotychczasowej polityce hutniczej i organizacji przemysłu hutniczego“, za pomocą organizacji specjalnej, która będzie ośrodkiem decyzji i planowania, a równocześnie ośrodkiem kontroli nad wszystkimi przedsiębiorstwami hutniczymi w Polsce, kontroli, której kierownictwo powierzone zostanie mężowi zaufania rządu.

O celach nowej organizacji powiedziano, że zdążać ona będzie do usprawnienia w przetwarzaniu tworzyw krajowych i zagranicznych i w ich zakupie, do usprawnienia w podziale pracy hutniczej, w dziedzinie dystrybucji żelaza i w dziedzinie inwestycji hut.

Czy najistotniejszym usprawnieniem zarówno w dziedzinie operowania tworzywem krajowym jak i zagranicznym, w dziedzinie zakupu i zbytu, w dziedzinie inwestycji i racjonalnego rozdziału zadań produkcyjnych — nie wydaje się być w pierwszym rzędzie skoncentrowanie zarządu wszystkich przedsiębiorstw hutniczych, w których zaangażowany jest kapitał państwowy w jednym punkcie? Czy potrzebna jest we własnym kierunku idąca i najczęściej konkurująca z pozostałymi przedsiębiorstwami hutniczymi, działalność kilku hut o kapitale państwowym, dla których kontroli — jak się okazało — nie starczył departament hutniczy, ani wydział przemysłowy Banku Gospodarstwa Krajowego? Czy przez racjonalizację bez mała wszystkich dziedzin działalności przedsiębiorstw hutniczych — jak to zapowiada uchwała Rady Ministrów z dnia 2 lipca b. r. — nie rozumie się sama przez się racjonalizacja dotychczasowej metody chodzenia „własnemi drogami”, (i to najczęściej przeciwstawnemi sobie), wszystkich hut w Polsce, z których trzy czwarte stanowi własność jednego kapitalisty: Państwa Polskiego.

UWAGI

PROBLEM SUROWCOWY W DOBIE OŻYWIENIA GOSPODARCZEGO

W dyskusji na temat samowystarczalności surowcowej bądź celowych zarządzeń w zakresie niektórych surowców coraz częściej wysuwane jest żądanie strukturalnej przebudowy produkcji i spożycia w sensie „przestawienia" na surowce krajowe. Żądania te są sfromułowane zarówno ogólnie — w odniesieniu do całokształtu gospodarki narodowej, jak i w stosunku do konkretnych surowców, przemysłów i działów spożycia. Przykładem pierwszego z wymienionych sformułowań może być następująca cytata z prasy [1]: „Przed polityką gospodarczą stoi zadanie przystosowywania istniejącego w kraju aparatu przemysłowego do przerobu surowców krajowych i systematycznego wdrażania konsumcji do spożywania artykułów, na tych surowcach opartych". Za przykład żądania stawianego polityce gospodarczej w odniesieniu do konkretnego przemysłu posłużyć mogą wyjątki z pracy p. St. Zembrzuskiego [2]: „Abstrahując nawet od sprawy obronności kraju, polityki dewizowej i interesów rolnictwa, za preferencją surowców krajowych przemawia konieczność przystosowania włókiennictwa do potrzeb rynku krajowego i stworzenia silnych podstaw dla rozwoju krajowej produkcji włókienniczej, a więc uniezależnienia się od wahań na rynkach egzotycznego włókna i od wszelkich powikłań międzynarodowych (nie tylko wojennych) przez ściślejsze powiązanie istniejącego przemysłu z surowcami krajowymi"... „Z uwagi, na interesy gospodarstwa narodowego jako całości konieczne jest dążenie do przemian strukturalnych celem dostosowania przemysłu do obecnego układu stosunków — przede wszystkim przez możliwie ścisłe powiązanie istniejących gałęzi przemysłu z bazą surowcową kraju".

Obserwatorowi życia gospodarczego musiały niewątpliwie rzucić się w oczy przemiany jakim uległa polityka gospodarcza w zakresie surowców na przestrzeni ostatniego okresu rocznego — od jesieni roku ubiegłego do jesieni bieżącego. O ile na początku tego okresu opinia publiczna żyła pod wrażeniem zdecydowanej tendencji przestawienia przemysłów na zużycie surowców krajowych, o tyle koniec tego okresu upłynął pod znakiem połowicznego załatwienia sprawy. Czemuż tak się nie dzieje? Odpowiedź znajdujemy w tytule niniejszych rozważań. Pod wpływem ożywienia gospodarczego, pod wpływem osłabienia trudności dewizowych z jesieni ub. r., stępiało obecnie koniunkturalne ostrze problemu surowcowego. Innymi słowy wynikałoby stąd, że polityka gospodarcza w zakresie surowców powoduje się przesłankami koniunkturalnemi, lub co najmniej *przeważnie* koniunkturalnemi. Nie podejmując w tym miejscu krytyki ani obrony aktualnej polityki, ograniczymy się do samego skonstatowania faktu, co będzie nam potrzebne do dalszych rozważań.

Nim jeszcze przejdziemy do właściwego tematu należy przeprowadzić pewne konieczne rozgraniczenie. Otóż naszym zdaniem, nie można w rozważaniach na tematy surowcowe mieszać surowców rolniczych z mineralnymi. Należy mówić o każdym z nich osobno. O ile bowiem jest rzeczą stosunkowo łatwą podjąć eksploatację nieczynnych chwilowo (z powodu mniejszej rentowności) pokładów rudy żelaznej, a następnie wydobycia zaniechać i w ten sposób *w stosunkowo krótkim okresie czasu*, wzmagać lub ograniczać *podaż* krajowych rud, — o tyle zmiany w podaży krajowych surowców rolniczych muszą (ze względu na charakter produkcji rolniczej) być zamknięte co najmniej w okresie rocznym, a *powinny* się mieścić w okresach dłuższych, co też w praktyce ma miejsce. Wzmożenia podaży np. włókna i siemienia lnianego nie wywoła chwilowa dobra cena i możliwość zbytu. Obserwowany od kilku lat wzrost areału uprawy lnu nie został spowodowany wyłącznie dobrą koniunkturą światową dla włókna lnianego w ostatnich paru latach, lecz realizowaną od kilku lat strukturalną przemianą zbytu włókna i siemienia na krajowym rynku, wynajdywaniem nowych możliwości zastosowań artykułów z nich wyprodukowanych itd. Identycznie miałaby się rzecz z ewentualnym zmniejszeniem podaży. O ile kopalnię można będzie zamknąć i niemal z dziś na jutro zmniejszyć podaż rudy, o tyle podaży tegoż samego włókna lnianiego i siemienia nie ograniczy się raptem, lecz zmniejszałaby się ona stopniowo, wywołując konieczne perturbacje. (W rozważaniach naszych abstrahujemy celowo od sprawy amortyzacji kapitałów zainwestowanych w eksploatacji np. rud i w produkcję rolniczą, gdyż chodzi nam o analizę problemu podaży).

Z rozważań powyższych płynie logiczny wniosek. Skoro dopuszcza się a nawet forsuje podaż surowców rolniczych musi się być przygotowanym: albo na trudności, które wynikną z chwilą ustania koniunktury eksportowej (np. na włókno lniane), albo trzeba już teraz zawczasu przygotować dalszą przemianę zbytu. Ponieważ zaś dotychczasowe możliwości zbytu zostały wykorzystane, rzecz się sprowadza do... *strukturalnej przebudowy produkcji (przemysłu) i spożycia*. Trzeciej drogi nie ma. Pozostaje więc wybór pomiędzy polityką koniunkturalną, z wynikającemi z niej nagłemi perturbacjami dla produkcji surowcowej (rolnictwa) z chwilą ustania koniunktury, — a polityką strukturalną ze stopniowemi zmianami w zakresie przebudowy (częściowej tylko tzw. adaptacji) przemysłu i spożycia.

Jest rzeczą niewątpliwą — i do tego właśnie zmierzaliśmy — że bezwzględnie łatwiej (bo bezboleśniej) można było by dokonać przebudowy strukturalnej przemysłu i rynku w dobie ożywienia gospodarczego niż w okresie depresji. Zarówno przemysł,

[1]) Kurier Poranny z dn. 12.X.37 r. „Budujemy zręby samowystarczalności surowcowej".

[2]) Stosław Zembrzuski: „Zagadnienie lnu w Polsce" cz. II Koniunktura Rolnicza, kwartalny dodatek do czasopisma „Rolnictwo" Nr 5—6 z 1937 r.

dysponujący większymi kredytami i pracujący rentowniej w czasie ożywienia gospodarczego, może bez ofiar poczynić konieczne inwestycje jak rynek (konsument) łatwiej strawi nawet dodatkową podwyżkę ceny, wywołaną stosowaniem droższych surowców krajowych.

Reasumując powyższe wywody i nie wypowiadając się za lub przeciw polityce koniunkturalnej czy strukturalnej, stwierdzamy, że albo w obliczu zwiększającej się produkcji surowców rolniczych musimy się zdecydować na strukturalną przebudowę przemysłu i konsumcji, albo musimy przeciwdziałać już teraz dalszemu rozwojowi produkcji tych surowców — o ile poprzestaniemy na polityce koniunkturalnej. Dalszy rozwój uprawy lnu bez zapewnienia zbytu dla tych ilości, które teraz szczęśliwie są wyrzucane na eksport, z chwilą ustania możliwości eksportowych, może w przyszłości wywołać nieobliczalne skutki. Jak czytelnik zauważył, w naszych rozważaniach abstrahowaliśmy — zgodnie z założeniem — od względów interesów rolnictwa, polityki dewizowej i sprawy obronności. Nie znaczy to, że przy ewentualnej decyzji sprawy powyższe mają być pominięte. Nie jest wykluczone, iż niektóre z cytowanych elementów odegrają decydującą rolę, przeważając szalę decyzji. W każdym bądź razie powzięcie decyzji wydaje się nam konieczne.

p. k.

WZORY NIE DO NAŚLADOWANIA

Od dłuższego czasu z łam polskiej zawodowej prasy kupieckiej nie schodzi kwestia cenzusu w handlu.

Zagadnienie cenzusu w tym czy innym zowodzie ma już swoją bogatą historię i literaturę. Postawiło je przede wszystkim rzemiosło, które chciało ograniczyć dostęp do swych szeregów, ludziom, znającym się dobrze na rzeczy, ale nie zawsze mile widzianym przez kierownictwo danego cechu czy danej korporacji publiczno - prawnej. Z prawdziwym wykształceniem zawodowym rzemieślniczy „dowód uzdolnienia" niewiele miał wspólnego, ułatwiał jedynie porachunki osobiste, stwarzał podstawę dla swoiście pojętej „inicjatywy" prywatnej, miał na oku załatwienie kwestii żydowskiej i t. p. „Dowodu uzdolnienia" uchwycono się tem skwapliwiej, że mógł on sobą zasłonić istotną motywację opieki nad rzemiosłem i zastąpić rzetelny a nie efekciarski trud podnoszenia — jakże w Polsce niskiego! — poziomu zawodowego w rzemiośle.

Dotychczasowe doświadczenia na „froncie" rzemieślniczym powinny były podziałać jak prysznic na głowy zapaleńców z innych „frontów". Niestety nie podziałały, gdyż w dalszym ciągu lansowana jest koncepcja stworzenia systemu ograniczeń w dostępie do handlu. Tu i ówdzie, z uporem, godnym lepszej sprawy, mówi się i pisze o konieczności zawodu i t. p.

Źródło rzemieślniczych i kupieckich nastrojów cenzusowych jest jedno i to samo: Niemcy. Muszą one mieć jakiś mistyczny urok i czar, skoro ich urządzenia, instytueje, przepisy prawne i hasła wywierają taki przemożny wpływ na polskich organizatorów życia gospodarczego. Bezkrytyczny stosunek tych ostatnich do niemieckich, hitlerowskich wzorów staje się już nawet niebezpieczny, przybiera bowiem niepokojące objawy psychopatologiczne. A nie chodzi tutaj przecież o kwestię polityczną, lecz o metodę myślenia gospodarczego, opartego o polski, a nie zagraniczny układ warunków i potrzeb.

Wydana w Niemczech ustawa z 12 maja 1933 r. o ochronie handlu detalicznego uzależniła otwarcie nowego przedsiębiorstwa sprzedaży detalicznej od uprzedniej zgody ze strony władz administracyjnych. Zgoda ta oparta jest o swobodne uznanie władz, które mogą kandydata skierować na „Sachkunde Prüfung" czyli poddać go egzaminowi znajomości zawodu. Sens tych zarządzeń jest taki, że „niepożądane" elementy nie mogą dostać się do handlu. A co jest tym „niepożądanym" elementem, wyjaśnia korespondencja „Tygodnika Handlowego", pisząc o elemencie, „który uprzednio, legitymując się tylko posiadanym kapitałem, uprawniony był już do uprawiania zawodu kupieckiego". Egzamin dokonywa, jak pisze tenże korespondent, właściwej selekcji kandydatów do stanu kupieckiego. Donosi on również, iż kupcy (ci z „prawami nabytymi") domagają się zaostrzenia rygorów egzaminacyjnych i uzupełnienia ich „ścisłą kontrolą możliwości kapitałowych kandydata, co uchroni gospodarstwo społeczne od strat, wynikłych z nadużywania kredytu i zadłużania niepewnych gospodarczo przedsiębiorstw". Że postulat ten koliduje z tendencją ustawy z 1933 r., która nie kładła żadnego nacisku na stronę kapitałową, tego nasz korespondent nie zauważył.

Jeżeli Niemcy taki system wprowadziły i jeszcze go rozbudowują, muszą mieć ważkie po temu powody. W Polsce rzecz się ma nieco odmiennie. Mamy nadmiar niezatrudnionej ludności wiejskiej — zjawisko w Niemczech nieznane. Posiadamy (poza b. dzielnicą pruską) dwie trzecie handlu detalicznego w rękach żydów — co, jako żywo, odbiega od stosunków niemieckich. Wiemy wreszcie o naszym ubóstwie kapitałowym — gdy w Niemczech np. wkłady oszczędnościowe wzrosły w dobie kryzysu i reglamentacji z 10 na 15 milionów marek.

I właśnie dlatego, że sytuacja nasza w tym zakresie kształtuje się odmiennie od niemieckiej, mamy Niemców naśladować? Chyba po to, żeby można było powtórzyć znane powiedzonko: „Na złość mamie odmrożę uszy..."

Ślepe naśladownictwo niemieckich wzorów grozi niczem innym, jak zahamowaniem zdrowego procesu polepszenia się handlu, przechodzenia doń ludności mało i bezrolnej, tworzenie polskich hurtowni kupieckich, a przede wszystkim podcięciem skrzydeł tej inicjatywy prywatnej, o której tyle się mówi i pisze. Zarazem — i to jest drugie zło zasadnicze — zwalnia ono od kłopotów, związanych z nauczaniem dobrego handlu tych, co już w nim tkwią. Mylą się zresztą ci, co wzywają do naśladowania niemieckiego „dowodu uzdolnienia" w kupiectwie: „znajomość zawodu" jest wśród żydów daleko większa, aniżeli wśród chrześcijan. Chyba, że egzamin nie to ma na myśli. Ale w takim razie trzeba zmienić system rządzenia państwem i społeczeństwem.

Gleba, do której mamy na gwałt przeszczepiać obce sadzonki, jest dla nich nieodpowiednia. Aby to skonstatować, wystarczy odrobina dobrej woli i samokrytycyzmu, a także i szczypta znajomości struktury gospodarczej i społecznej kraju, który ma być uszczęśliwiony wzorami... nie do naśladowania.

j. gozd.

PODZWONNE

W najbliższym czasie przyjdzie nam żegnać się z instytucją, z którą blisko zrośliśmy się w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Ochrona lokatorów była w tym okresie tak zasadniczym elementem w życiu ludności miejskiej w Polsce, że warto denatce poświęcić parę słów nekrologu.

Dla ekonomisty o nastawieniu społecznym bilans zamknięcia tej instytucji przedstawia bogactwo zjawisk zarówno ujemnych jak i dodatnich. Po stronie pasywów figuruje zmniejszona kapitalizacja w grupie właścicieli domów, zamarcie długoterminowego kredytu hipotecznego, fatalny stan techniczny nieruchomości miejskich i niewątpliwie ujemne, nienormalne formy ukrytej zwyżki czynszów w postaci odstępnego. Ponieważ w okresie przedwojennym budową domów zajmowała się prawie wyłącznie zwarta grupa t. zw. kamieniczników, zjawiska te, zwłaszcza dwa pierwsze, spowodowały po wojnie całkowite zamarcie ruchu budowlanego. Ożywienie w tej dziedzinie na większą skalę przyszło dopiero w postaci t. zw. budownictwa „wedlowskiego" po zastosowaniu całego szeregu kosztownych zastrzyków w postaci ulg podatkowych i kredytów Banku Gospodarstwa Krajowego.

Po stronie aktywów znajdujemy więcej momentów z dziedziny polityki socjalnej. Faktem jest, że ochrona lokatorów przez reglamentację czynszów była jedynym środkiem dostosowującym ich wysokość do zdolności płatniczej masy nisko uposażonych pracowników. Dzięki temu uniknęło się dalszego zmniejszania budżetu konsumpcyjnego robotników i spadku na jeszcze niższy poziom ich standartu mieszkaniowego. Wreszcie nadbudówka ustawy w postaci rozporządzeń przeciweksmisyjnych dla bezrobotnych stanowiła jedną z najbardziej skutecznych form opieki społecznej.

Jakkolwiek podstawą ataków na ochronę lokatorów były od lat argumenty natury gospodarczej, to przyczyn jej zniesienia należy upatrywać gdzieindziej. Doszukujemy się ich w zmianie postawy w stosunku do tej instytucji opinii publicznej. Opinia ta kształtuje się pod wpływem grupy ludności, której potrzeby mieszkaniowe zostały w ciągu ostatnich kilkunastu lat w znacznej mierze nasycone. W miarę jak się zabudowywał Żoliborz, Mokotów, Kolonia Staszyca, Frascati — milkły głosy zaciętych polemik na łamach prasy, zmniejszała się liczba krzykliwych broszurek o sprawie mieszkaniowej, ustawały interpelacje sejmowe. Odnosi się wrażenie, że kwestia mieszkaniowa została już w Polsce rozwiązana. Wrażenie to niewątpliwie stało się podstawą przystąpienia do całkowitej — choć na lat kilka rozłożonej — likwidacji ochrony lokatorów.

Rzeczywistość jednak przedstawia się inaczej. Poprawa sytuacji mieszkaniowej dała się odczuć istotnie jedynie na odcinku mieszkań większych — 3, 4 i więcej izbowych. Natomiast w mieszkaniach mniejszych nastąpiło dalsze zgęszczenie zaludnienia. Od 1921 do 1931 r. zaludnienie mieszkań 1 izbowych wzrosło w Warszawie z 3,73 osób do 4,00 na 1 izbę, w Łodzi z 3,60 do 3,85, w Poznaniu z 2,71 do 3,34. W mieszkaniach 2 izbowych jest niewiele lepiej. Jeżeli teraz uprzytomnimy sobie, że w tych dwóch typach mieszkań gnieździ się 64,7% ogółu ludności miejskiej w Polsce, widzimy jak złudna jest optymistyczna ocena poprawy mieszkaniowej.

Ustawa o ochronie lokatorów przez szereg lat pozwalała zapomnieć o dokuczliwości tej „jątrzącej rany". W obliczu likwidacji ustawy trzeba sobie z tego zdać sprawę, że rana bynajmniej nie jest zagojona, a z chwilą zdjęcia czasowego opatrunku zacznie dokuczać na nowo.

Sprawa budowy tanich mieszkań nie może być rozwiązana przez inicjatywę prywatną, która nie zadawala się pojęciem rentowności społecznej, a dotychczasowe rozmiary budownictwa robotniczego z funduszów publicznych nie są w żadnym rozsądnym stosunku dostosowane do potrzeb życia.

Według projektu likwidującego ochronę lokatorów, przestanie ona obowiązywać mieszkania najmniejsze za 3 względnie 4 lata.

Zanim ucichną podzwonne nad nieboszczką, zastanówmy się co poczniemy z ogromnym spadkiem kłopotów, które po sobie zostawia. Instytucja miała wady, ale spełniała swoje zadanie. Pustka, która zostaje, wypełniona być może tylko w drodze znacznego nasilenia akcji budownictwa mieszkań pierwszej potrzeby. W chwili ustalania rozmiarów poszczególnych dziedzin inwestycji na lata najbliższe, sprawa ta musi być wzięta pod uwagę.

j. u.

TADEUSZ GARCZYŃSKI

JESZCZE O TRANZAKCJACH KOMPENSACYJNYCH

Uwagi poniższe są rozwinięciem dyskusji, zapoczątkowanej w Nr 17 — 18 „Gosp. Nar.” przez p. H. Taubenfelda. ***Red.***

Dyskusja na temat tranzakcyj wiązanych, czy jak kto woli kompensacyjnych, stała się nużąca. Pomimo tego sądzę, warto do niej powrócić, gdyż jest niezmiernie charakterystyczna.

Tranzakcje dokonywują się od kilku lat. Doświadczenie wykazało, że wprowadzają one zamęt zarówno w dziedzinie wywozu jak i przywozu. Rzucono projekty reform. Rozpoczął się pierwszy okres dyskusji.

W tym pierwszym okresie eksporterzy dowodzili, że przesadne premie wypłacone przez importerów są szkodliwe, gdyż eksporter licząc się przede wszystkim z wypłaconą mu premią wywozi towar po cenie tak niskiej, że zabija to przyszłość wywozu. Importerzy skarżyli się, że nieuregulowana podaż towaru na rynek stwarza atmosferę spekulacji. Nie analizując zbyt szczegółowo tych zarzutów, które są na ogół znane, stwierdzamy, że obie strony były niezadowolone.

Z tego powszechnego niezadowolenia narodził się wniosek o likwidację tych tranzakcyj. Rozpoczął się drugi okres dyskusji.

W tym drugim okresie eksporterzy dowodzili, że tranzakcje wiązane oddały duże usługi przy wywozie pionierskim i że istnieniu ich zawdzięczamy powstanie i byt kilku firm handlowych o pożądanej orientacji. Podobnie z obroną wystąpili importerzy, twierdząc, że tylko istnienie tych tranzakcyj daje im pewność, że zawsze dostaną dewizy potrzebne na zakup towaru zagranicznego i utrzymanie warsztatów pracy. Obie strony domagają się tylko reformy. Zgodne w tym pukcie, nie zgadzają się co do formy. Eksporterzy pragną uporządkować tylko stronę wywozu, sądząc, że dobroczynne skutki dla przywozu będą automatyczne. Rozumowanie importerów jest odwrotne.

Wszystko razem jest męczące — dowodzą niektórzy obiektywni słuchacze. — Całość tranzakcyj wiązanych, to zaledwie 30 milionów rocznie. W stosunku do całokształtu bilansu handlowego jest to cyfra tak znikoma, że nie warto tracić czasu na dyskusje. Skasujmy te tranzakcje.

Po tym głosie zniecierpliwienia znowu zgodnie występują importerzy i eksporterzy. Znowu po chwilowej zgodzie na utrzymanie tranzakcyj, zaczyna się spór na temat, jak przeprowadzić reformę. I tak dokoła...

Jałowość tej dyskusji wynika z zasadniczego błędu. Tranzakcje wiązane nie wynikają ani z samorzutnej inicjatywy eksportera, ani importera, lecz są one naturalnym, koniecznym następstwem reglamentacji. Reglamentacja dewizowa prowadzi do kontyngentów. O ile sytuacja dewizowa jest dobra, wówczas kontyngenty są duże i tranzakcje wiązane nie mają amatorów. Gdy sytuacja dewizowa się pogarsza, wówczas kontyngenty są zbyt szczupłe i trankacje wiązane są jedyną możliwością dokonania przywozu. Oczywiście pogorszenie się sytuacji dewizowej jest pojęciem względnym. Doskonale wyobrażamy sobie, że przy poprawie koniunktury wzrasta spożycie i nieuchronnie wzmaga się przywóz.

Powstaje wówczas popyt na dewizy, stąd zaś „pogorszenie sytuacji dewizowej”, wywołane pożądanym ożywieniem. W takich chwilach tranzakcje wiązane stają się klapą bezpieczeństwa, która pozwala na przywóz przy nienaruszalności zasad polityki dewizowej.

Popularnie i dobitnie scharakteryzować to można w następujący sposób: — Jeżeli importerowi nie wystarcza kontyngent, zgłosi się do Ministerstwa Przemysłu i Handlu prosząc o większy. Po odmowie uzasadnionej względami polityki dewizowej, może oświadczyć, że sam dostarczy dewiz przez dokonanie wywozu. Wówczas nie będzie powodów do odmowy, co równa się zgodzie na tranzakcje wiązane.

Streszczając te wywody, zaznaczam z naciskiem, że tranzakcje te są regulatorem, który działa automatycznie, uzupełniając system reglamentacyjny. Cóż z tego, że dzisiaj przywóz surowców nie interesuje się tym zagadnieniem. Dowodzi to tylko, że gospodarka dewizowa może zaspokoić jego potrzeby. Gdyby jednak pomyślna koniunktura dalej sprzyjała produkcji, fabryki zapragnęłyby dodatkowych kontyngentów, wówczas, — być może — regulator zacząłby działać i rynek tych tranzakcyj znacznie by się ożywił. W świetle tych wyjaśnień jałowa dyskusja staje się niezmiernie ciekawa. Przestajemy myśleć o niewielkiej grupie interesów, która dzisiaj jest wciągnięta w orbitę tych tranzakcyj, lecz rozważamy zagadnienie dotyczące instrumentu polityki obrotów z zagranicą. Z obserwacji działania tego instrumentu możemy wyciągnąć daleko idące wnioski, czy i jak dalece reglamentacja dewizowa wpłynęła na obroty.

Zagadnieniem pobocznym, chociaż ważnym, jest użyteczność tych tranzakcyj dla wywozu. Słusznie dowodzi p. Taubenfeld w swym artykule zamieszczonym w 17—18-tym numerze „Gospodarki Narodowej”, że wywóz pionierski wiele tym tranzakcjom zawdzięcza. ów wpływ tych tranzakcyj wywiera jednak zbyt silną sugestię na wnioski końcowe artykułu, kształtujące się wyraźnie w duchu polityki eksportowej, a z pominięciem innych nie mniej ważnych czynników.

Nie wolno nam nigdy zapominać o tem, że ludzie nie żyją z aktywności bilansu handlowego, lecz z obrotów. Polityka dewizowa nie jest celem sama w sobie, lecz chroni handel zagraniczny od możliwych pomyłek, które zaszkodziłyby obrotom. Wywóz jest ważny, jako zasadnicze ogniwo wzrostu obrotów. Powtarzam te truizmy dlatego, że drugą stroną bilansu jest przywóz, a tem samem wszystko, co piszę o obrocie, dotyczy przywozu. „Egocentryczność" poszczególnych fragmentów polityki handlu zagranicznego posunięta niekiedy do fetyszyzmu, zbyt często o tem zapomina. Publicystyka nasza niezmiernie często popełnia błąd propagowania tezy o szkodliwości przywozu. Tranzakcje wiązane są tym jaskrawym dokumentem, który wykazuje ścisły związek wywozu z przywozem.

W artykule swym pisze p. Taubenfeld:

„Wydaje się, iż w obecnej fazie analizy można by bez zastrzeżeń zalecić wprowadzenie następujących korektur:

1) selekcję firm pod względem kapitału, kwalifikacji i dotychczasowych wyników w eksporcie; chodziło by przede wszystkim o domy handlowe, ale również i o fabryki, eksportujące własne produkty, o ile posiadają odpowiedni aparat handlowy w kraju lub zagranicą;

2) selekcja towarów t. zn. dopuszczanie do kompensaty tylko takich towarów, które bez kompensaty nie mogą być wywożone;

3) eliminowanie drobnych tranzakcyj, nie odgrywających żadnej roli w ekspansji eksportu;

4) w wywozie towarów, posiadających charakter masowy, a dokonywanym przez kilka firm wprowadzenie jednolitych warunków sprzedaży zagranicą;

5) możliwie ścisłe badanie stanu zawartych tranzakcyj eksportowych oraz bieżącego zapotrzebowania na towary importowe;

6) w wypadkach wątpliwych kontrola towarów w kraju odbiorczym".

Na sześć punktów wszystkie zajmują się zagadnieniem wywozu, o przywozie jest jedynie wzmianka w p. 5 i to raczej fragmentaryczna.

Zastanówmy się chwilę, jakie byłoby działanie tak pojętej reformy tranzakcyj wiązanych. Punkt pierwszy proponuje selekcję firm. Z wyliczenia firm, specjalizujących się w tym trudnym typie tranzakcyj widać, że selekcja doprowadziłaby do utrzymania się 5 — 6 firm. Dalszym następstwem byłoby porozumienie się tych firm pomiędzy sobą, poczem posiadając swego rodzaju „monopol" na dostarczanie importerom dewiz, dyktowałyby im dowolne warunki. Dodajmy do tego, że jest do pomyślenia, jeszcze i inny sposób postępowania. Tak więc importer kawy dowie się, że tylko od pięciu firm może otrzymać dewizy. Gdy się do nich zgłosi, dowie się, że firmy nie dadzą mu dewiz lecz potrzebny towar. Importer byłby bezbronny, gdyż nie ma innej drogi do otrzymania dewiz. W ten sposób zostałby pozbawiony swych stosunków handlowych z zagranicą, możliwości bezpośredniego nabywania.

Dalsze punkty zalecanych wniosków dotyczą polityki popierania wywozu, a tem samem w rozważaniach o wiązaniu odgrywają rolę drugorzędną. Nawet punkt piąty, zalecający badanie, ma charakter pomocniczy. Jednak ten punkt piąty jest niezmiernie charakterystyczny, gdyż zawiera w sobie surogat planu.

Przeciwstawieniem podanych jednostronnych wniosków jest właśnie planowość zamierzona, nie zaś przypadkowa, oddana w nieznane ręce. Wszelka planowość wymaga czynników stałych jako podstaw rozumowania. Nie jest czynnikiem stałym wywóz, gdyż może wzrastać lub maleć, zależnie od cen uzyskiwanych w eksporcie — jest nim natomiast przywóz, gdyż pojemność rynku jest znana.

Stąd przy planowości pierwszym krokiem jest istnienie centrali importowej otrzymującej zapotrzebowania [1]). Wysokość zapotrzebowań określa ścisłą sumę dewiz, jaką import pragnie otrzymać od eksportu. W tym punkcie następuje wyraźny podział zadań polityki wywozowej i przywozowej. Miarodajne instytucje mogą badać wywóz zgodnie z punktami pierwszego wniosku i zlecać odpowiednie umowy centralom przywozowym. Centrale przywozowe natomiast muszą stworzyć regulamin dystrybucji, nie nastręczający żadnych wątpliwości.

P. Taubenfeld widzi zalety tego wniosku, lecz silnie akcentuje wady. Wadą jest brak bezpośredniego związku między importerem i eksporterem, obawa renty kontyngentowej i niechęć oddania centrali przywozowej prawa wyboru firmy eksportującej. Żaden z tych zarzutów nie dotyczy istoty wniosku.

Po pierwsze — w dzisiejszym systemie żaden importer nie szukał eksportera. Szukali pośrednicy. Centrala importowa, dźwigająca na sobie odpowiedzialność za dostarczenie dewiz, będzie niewątpliwie energicznie szukała możliwości wywozu. Nie będzie się zajmowała ani drobnymi tranzakcjami, ani nie zawrze umowy z niepewnymi ludźmi, będzie stanowiła automatyczne porozumienie w wypadku masowego wywozu — innymi słowami łatwo osiągnąć wszystkie cele w pierwszym wniosku zawarte. Jednocześnie utrąca radykalnie specyficzną spekulacyjność, zaśmiecającą rynek tranzakcyj wiązanych. Akwizycja wywozu, o której pisze p. Taubenfeld, będzie dotyczyła tej samej cyfry, gdyż jest ona wynikiem popytu — czyli wywóz na centralizacji nic nie ucierpi.

Po drugie — importerzy są przeciwnikami renty kontyngentowej. Jeżeli w pierwszym okresie swej działalności Centrala będzie musiała tworzyć klucz podziału, to tylko jako normę przejściową, aby nie wywołać nadmiernych zakupów. ów klucz szybko zostanie zlikwidowany i po pewnym czasie każdy importer będzie mógł nabyć dowolną ilość towaru przy identycznym dla wszystkich obciążeniu kosztami wiązania. „Liberalizm" wiązań prowadził do tego, że każdy importer nabywał towar na innych warunkach. Tak więc system ten właśnie okazałby się najliberal-

---

[1]) Oczywiście centrale te nie są pomyślane jako centrale zakupu, lecz jedynie jako aparaty dystrybucji pozwoleń przywozu.

niejszy — gdyż skutków nieuchronnej reglamentacji przywozu nie przenosiłby na rynek wewnętrzny.

Po trzecie — w artykule jest wypowiedziana obawa jakiego eksportera dobierałaby sobie centrala importowa. Tę obawę podzielają wszyscy pośrednicy w wiązaniach. Odpowiedź na to jest prosta: centrala importowa nie może mieć ambicji polityki eksportowej. Jest tyle znakomitych i miarodajnych instancyj prowadzących tę politykę, że uchronią one niewątpliwie centralę przed ewentualnemi pomyłkami. Przecież eksport dokonywany w drodze wiązań jest zatwierdzony — trudno więc wyobrazić sobie, by centrala importowa mogła prowadzić samodzielną politykę, nawet, gdyby miała na to ochotę.

Niezależnie od tych wyjaśnień należy dodać, że system ten chroni także eksportera. Obecnie zdarza się nieraz, że eksporterzy zawierają umowy o wiązanie, — ale nie wiadomo ani ile, ani kiedy przedstawią importerom dokumenty wywozu.

Zdarzyć się może, że np. na miesiąc listopad wypadnie realizacja 5 milionów wywozu — gdy rynek danego towaru potrzebuje dewiz tylko w wysokości 2 milionów. W tym wpadku importerzy dewiz nie odbiorą, co przetłumaczone na język praktyczny oznacza, że eksporterzy popadną w kłopoty. Odwrotnie, może się wydarzyć, że popyt na dewizy, pochodzące z wiązań, będzie większy niż podaż, zachęcając do zawierania tranzakcyj nie usprawiedliwionych pojemnością rynku. Widzimy z tego wyraźnie, że regulacja dopływu jest czynnikiem bardzo ważnym — a to oznacza planowość.

Przenosząc rozumowanie na płaszczyznę teoretyczną, która stanowiła punkt wyjścia, stwierdzam, że istnieje prawo konsekwencji. Organami planowości są i Centralna Komisja Przywozowa i Komisja Dewizowa. Wszelkie inne organizacje w rodzaju central importowych są tylko naturalnymi następstwami.

Centrale będą organizacjami celowemi, chroniącemi rynek wewnętrzny przed skutkami reglamentacji, do których należy koncesyjność, (renta reglamentacyjna) i spekulacyjność.

Przedwczesnym byłby wniosek o szerokiej rozbudowie central. Życie samo wskazuje gdzie i kiedy są potrzebne. W tych wypadkach, gdy są one wyrazem dążeń całych branż zainteresowanych, nie ma powodu do wahań.

NOTATKI

FOOTBAL I REFORMA ROLNA

Nożyce się odezwały. Na zamieszczoną w ostatnim numerze „Gospodarki Narodowej" uwagę p. t. „Trochę demagogii" „Słowo" wileńskie odpowiedziało w numerze z dnia 12 bm. W ten sposób żartobliwa, a raczej pół żartobliwa dyskusja na marginesie poważnej sprawy, jaką jest reforma rolna, nie zgasła. Cieszy to piszącego te słowa, jako zwolennika metod polemicznych bardziej wyszukanych niż okładanie przeciwnej strony kijem wymysłów. W tej sportowej płaszczyźnie musimy też przede wszystkim stwierdzić, że nasz przeciwnik z łam „Słowa" zjednał sobie z punktu naszą sympatię jednym udanym dowcipem. Udanym na tyle, że choć oparty jest o nieporozumienie, warto go zacytować.

Pan Al. B. zrozumiał zawarte w poprzedniej naszej notatce wyrażenie „małych gospodarstw samowystarczalnych, ale poza samowystarczalność nie wychodzących" jako dążenie do tworzenia takich gospodarstw, które by zdolne były produkować na własne potrzeby i nic ponadto. Czy miał prawo tak rozumieć? — A no cóż, nie można wykluczyć i takiej interpretacji słowa „samowystarczalny" (czyż istnieją słowa naprawdę jednoznaczne?). Rzecz inna, że nie potrzeba szczególnej domyślności, aby pojąć, że jeśliby istotnie ktoś marzył o takiej strukturze rolnej, gdzie gospodarstwa zostałyby ograniczone do produkcji na własne potrzeby, a tem samem stały się niezdolne do sprzedaży czegokolwiek na rynek i zakupu czegokolwiek na rynku, to chybaby się do tego nie przyznał. I to nie z obawy przed pomówieniem o dążenie do kolektywizacji, lecz przed zaliczeniem do kategorii fantastów, zapoznających dorobek całego wielowiekowego okresu, dzielącego nas od gospodarki naturalnej. Nie chcąc suponować, przekroczenia przez p. Al. B. reguł gry, przypuszczamy, że przyczyną nieporozumienia jest mała domyślność naszego oponenta, albo niejasność użytego przez nas wyrażenia, które zresztą trochę niżej wyjaśnimy.

Otóż pojmując znaczenie wyrażenia „gospodarstwo samowystarczalne" tak, jak je zrozumiał p. Al. B., zapytuje on: „jak będzie wyglądała ta ciasna samowystarczalność gospodarstwa, skoro np. dana rodzina mieć będzie o jedno dziecko więcej, niż to raczyło przewidzieć Ministerstwo?"

Wizja jest rzeczywiście ponura, bo przecież zdarzają się nie tylko bliźnięta, ale nawet trojaczki. Żart jest przedni. Przeciwnik pana Al. B. musiałby się poczuć zdruzgotany tym dowcipem gdyby istotnie pojmował samowystarczalność tak jak publicysta „Słowa". Winniśmy więc nieporozumienie to wyjaśnić, ażeby na przyszłość niedomyślny pan Al. B. mógł pisać dowcipy nie tylko równie dobre, ale i bardziej celne.

Otóż samowystarczalność gospodarstwa rolnego w rozumieniu piszącego te słowa zwolennika reformy i zapewne w rozumieniu wszystkich jej zwolenników nie oznacza bynajmniej hasła powrotu do gospodarki naturalnej. Hasło to byłoby równie absurdalne, jak nieosiągalne, jeśli się zważy, że nawet najmniejsze karłowate gospodarstwa część swej produkcji przeznaczają na zbyt. Przez gospodarstwo samowystarczalne rozumiem takie, które jest w stanie zapewnić egzystencję rodzinie, przy czem przez egzystencję rodziny rozumiem nie tylko dostarczenie nieosolonych kartofli, ale zapewnienie po-

krycia przynajmniej całokształtu potrzeb w zakresie nie tylko jedzenia, ubrania, światła, ale nawet potrzeb kulturalnych. Pojęcie samowystarczalności gospodarstwa nie jest pojęciem prowadzącym do jednoznacznego określenia obszaru typowego gospodarstwa. Ściśle biorąc jest ono tylko przeciwstawieniem pojęcia gospodarstwa karłowatego, niesamowystarczalnego nawet wtedy, gdy część produkcji przeznacza na zbyt, ale nie jest w stanie pokryć elementarnych potrzeb rodziny, na nim gospodarującej. Tylko empirycznie, umownie można określić jaki obszar przy danym poziomie intensyfikacji, przy danych warunkach glebowych i ogólno gospodarczych, pozwoli zapewnić samowystarczalność rozumianą jak wyżej. Z góry natomiast powiedzieć można, że istnieje typ gospodarstw jaskrawo wykraczających ponad to, co w warunkach polskich stanowi minimum niezbędne dla osiągnięcia samowystarczalności gospodarstwa. Te gospodarstwa (wielko - chłopskie) mają niewątpliwie szereg zalet, z punktu widzenia zarówno gospodarczego jak socjologicznego, co nie znaczy jednak, aby przy małym zapasie ziemi a wielkiej nadwyżce ludnościowej wolno było tworzyć z parcelacji takie właśnie gospodarstwa, aby wolno było wykraczać ponad samowystarczalność.

To szczegółowe wyjaśnienie rzeczy skądinąd oczywistej zechce pan Al. B. uznać za wyraz „kredytu moralnego" jaki zyskał sobie u piszącego te słowa swoim dobrym dowcipem. Nie jest natomiast dowcipem, a tem bardziej dobrym, ta druga część wywodów pana Al. B., która zmierza do „wykazania", że zwolennicy reformy rolnej dążą do tworzenia kołchozów. Swe „kunsztowne" wywody pan Al. B. opiera tu na druzgocącym chwycie. Zastępuje „pięknie brzmiące zespołowość przez bardziej brzydkie, ale identycznie znaczące kołchozy".

Mówiąc językiem footbalowym, jest to coś w rodzaju tego, gdyby piłkarz, stojący pod bramką przeciwnika pochwycił nagle leżący na skraju boiska kamień wrzucił go do bramki przeciwników i upierał się przy twierdzeniu, że strzelił goala, ponieważ kamień to to samo, co piłka. Tyle tylko, że brzydszy.

Otóż nie. Kamień to nie piłka, a zespołowa organizacja indywidualnych gospodarstw rolnych *dla celów zbytu i przetwórstwa* to nie kołchozy. Zdawało by się, że nie trzeba tego tłumaczyć. Zdawało by się, że wszyscy wiedzą, że kołchozy polegają na wspólnocie gospodarstwa rolnego przy ewentualnym pozostawieniu w indywidualnym władaniu małej części, w zasadzie drugorzędnych działów gospodarstwa. Zdawało by się także, że wszyscy wiedzą, że zespołowa organizacja dla celów zbytu i przetwórstwa nazwana może być także inaczej spółdzielczością i że tego rodzaju właśnie zespołowość kwitnie w tak „skomunizowanym" kraju jak Dania.

Pan Al. B. jednak kołchozu od spółdzielczości nie odróżnia, a ponieważ paralela pomiędzy footbalem a publicystyką przypadła mu do gustu, więc w wysunięciu hasła rozwoju form zespołowych widzi on „bramkę strzeloną przez własnych obrońców" czyli mimowolne zdemaskowanie się zwolenników kolektywizacji. Z pewnością ta ocena pana Al. B. będzie podzielana przez wszystkich tych, którzy również nie dopatrzą się różnicy pomiędzy kołchozem a spółdzielnią. Natomiast przez tych, którzy te dwa pojęcia rozróżniają, wywody pana Al. B. muszą być uznane za podstawę wystarczającą dla przyznania przez sędziego karnego rzutu do bramki drużyny „Słowa", bronionej przez publicystę... nie dość zorientowanego w terminologii gospodarczej.

Animusz sportowy bramkarza „Słowa" wyprowadza go zresztą pod koniem artykułu poza ramy boiska, po za temat reformy rolnej. Pan Al. B. kończy swą polemikę z „Gospodarką Narod." dłuższym ustępem anty-komunistycznym. Gdzie Rzym — gdzie Krym? Co ma wspólnego reforma rolna i enuncjacja Pana Premiera na temat Związku Nauczycielstwa Polskiego z wierszykami z elementarza? Ano, tyleż, co osoba pana Premiera z osobą pana Al. B. tyleż, co spółdzielczość z kołchozem. Czy to tylko galimatias, czy sportowa zabawa w roztaczanie zasłony dymowej? Ustęp jest niejasny, ale tendencja jasna. Sugerowanie — tym razem ostrożne i nie dające podstawy do zaczepienia w innej niż publicystyczna formie — że ta reforma rolna, to mocium panie bolszewizm.

t. k.

SIERŻANCI Z P. K. P.

W związku z rozkazem ministra spraw wojskowych, polecającym wyraźne rozgraniczenie zawodu oficera od zawodów „cywilnych", można i należy poruszyć pewną dość ważną i zasadniczą sprawę.

Od szeregu lat utarło się, a od roku czy dwuch przyjęło „na mur", że instytucje publiczne obowiązane są przyjmować do swych biur byłych wojskowych. Mamy tutaj na myśli nie tych oficerów, którzy zrezygnowali z kariery wojskowej i postanowili przerzucić się do innego działu pracy, lecz tych oficerów — i podoficerów — zawodowych, którzy dosłużyli się emerytury i... pracują nadal, ale już „w cywilu".

Szczególnie silny napływ normalnych emerytów wojskowych odczuwa administracja ogólna niższych instytucyj oraz przedsiębiorstwo Polskie Koleje Państwowe. O ile nasze informacje są ścisłe, P. K. P. przyjęły w ostatnim roku około 20.000 byłych wojskowych, w znacznej części wysłużonych podoficerów.

Zatrudnienie emerytów w służbie państwowej ma swój specjalny posmak czy to na tle dążeń do wciągnięcia młodzieży w orbitę „pracy dla państwa", czy to na tle t. zw. awansu społecznego i t. zw. kariery urzędniczej, czy też na tle hasła ufachowienia naszego aparatu administracyjnego. Jest bowiem rzeczą jasną i zrozumiałą, że ulokowanie emerytowanego sierżanta, którego zasług wojskowych nikt nie ma prawa podawać w wątpliwość, powoduje: po pierwsze — konieczność dania mu stopnia służbowego, który odpowiada nie jego kwalifikacjom fachowym, bo te są na początek niemal równe zeru, lecz jego uposażeniu emerytalnemu lub ostatniej pensji w wojsku, po drugie — zahamowanie możliwości awansowych dla młodszych generacji urzędniczych, które muszą przecież zaczynać swą karierę od początku, a nie ze

środka, po trzecie — łamie poczucie sprawiedliwości i słuszności, skoro fachowcy stają się hierarchicznie zależni od niefachowców, a po czwarte — wprowadza zupełnie obce a mało przydatne pierwiastki myślenia i działania.

Ten ostatni moment wydaje się najważniejszy i zarazem najbardziej będzie kwestionowany. Wiele bowiem ludzi jest głęboko przekonanych, że dzielny oficer lub podoficer liniowy, świetny administrator w pułku, szwadronie czy plutonie okaże się równie doskonałym starostą lub referentem zasobów w dyrekcji kolejowej. Pogląd ten przeważnie się nie potwierdza, gdyż ex - rotmistrze czy ex - sierżanci trafiają na tak odmienne warunki działania, że muszą nolens volens ulec wykolejeniu. Pracowali oni dotychczas w instytucji, gdzie ustalona hierarchia i dyscyplina stwarzały im atmosferę — w porównaniu ze stosunkami „w cywilu" — wprost cieplarnianą. Skomplikowana i mocno przy tem zbiurokratyzowana maszyna „cywilna" zdolna jest oszołomić i wytrącić z równowagi niejednego bohatera. Byli wojskowi, przeniesieni w świat cywilny na odpowiedzialne (otóż to!) stanowiska, przypominają prymusów szkolnych, o których w życiu jakoś dziwnie cicho. Wyjątki potwierdzają regułę...

Konsekwencje takich radykalnych przeszczepień są te, że byli wojskowi z trudem i mozołem uczą się spraw cywilnych, a metoda pracy biur i urzędów bynajmniej nie wchłania od nich tych cech dodatnich, jakiemi nasiąkli oni w czasie pobytu w wojsku. I być może właśnie dlatego na liście starostów, usuniętych przed paroma miesiącami przez premiera Składkowskiego, figuruje tak wielu oficerów, a co raz to częstsze wypadki nie dawania sobie rady przez P. K. P. ze wzmożonym ruchem pociągów i przejazdów są jak gdyby echem owych 20.000 nowicjuszów w wieku, utrudniającym szybkie zdobywanie wiedzy i fachu.

O armii można i należy mówić z pełnym szacunkiem, na który bezwzględnie zasługuje. Nie znaczy to jednak, by z tej racji milczeć wtedy, gdy tematem są *byli* wojskowi. Z chwilą, kiedy zdjęli mundur i wzięli do ręki pióra, stają się częścią aparatu administracji cywilnej, która podlega krytyce i dyskusji. Dlatego też kwestia zatrudnienia ex - wojskowych nie jest w naszym rozumieniu żadnym „tabu", lecz powinna być przedmiotem powszechnego zainteresowania i pozytywnych rozwiązań.

Przez te ostatnie rozumiemy skierowanie emerytowanych wojskowych nie do administracji publicznej, lecz właśnie do życia gospodarczego, nie do urzędów, lecz na trudniejsze, wymagające mocnych nerwów i opanowania placówki gospodarczej inicjatywy prywatnej czy społecznej. Byle by nie kończyło się to pójściem po linii najmniejszego oporu, którą są rozmaite synekury, wyjątkowe dostawy i roboty, koncesje i t. p. Nie znaczy to wcale, by do życia gospodarczego miała nie iść młodzież, czekająca dzisiaj na posady. Przeciwnie! Im mniej będzie młodych urzędników, a więcej rzemieślników, kupców, spółdzielców czy fabrykantów — tem lepiej! Ale jeśli mamy utrzymywać rządy biurokracji, niech to już będzie biurokracja fachowca i — nierozgoryczona.

z. i.

W związku z artykułem zamieszczonym dn. 30 września w Nr. 268 „Czasu" p. t. „Nowe ognisko komunizmu", Gospodarka Narodowa stwierdza:

1. Wystąpienie „Czasu" spotka się ze strony Gospodarki Narodowej z właściwą reakcją.

2. Grupa redakcyjna Gospodarki Narodowej nie występuje pod nazwą klubu dyskusyjnego „Zespół Społeczno-Narodowy", jakkolwiek kilku członków grupy redakcyjnej Gospodarki Narodowej jest jednocześnie członkami klubu dyskusyjnego „Zespół Społ.-Narodowy", i niektóre tezy programowe Zespołu były sporadycznie swego czasu drukowane na łamach Gospodarki Narodowej.

3. Niektórzy członkowie grupy redakcyjnej Gospodarki Narodowej bądź podzielają, bądź odnoszą się z sympatią w stosunku do całości lub części zasad wyrażonych w „Podstawach doktryny społeczno-narodowej", ogłoszonych przez wspomniany klub dyskusyjny. Niemniej jednak w grupie redakcyjnej są członkowie, którzy mogliby się zgodzić z temi zasadami tylko w części, albo dla których są one całkowicie obce.

REDAKCJA.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI „GOSPODARKA NARODOWA"
JACEK RUDZIŃSKI

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: NOWY ŚWIAT 37 M. 15 TELEFON 676-73 KONTO P. K. O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE.

Zakł. Graf. DRUKPRASA, N.-Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40.